



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Niedobrze jest wracać do Warszawy na początku Września, jeżeli nic do tego koniecznie nie zmusza; natrafia się bowiem na jakieś *demi-saison*, na coś nieokreślonego, co już nie jest kaniulą i porą ogórkową, a jeszcze nie zaczęło być jesienią i pełnym sezonem.

Człowiek, który się pośpieszył z powrotem, odnosi wrażenie, jakgdyby wcale nie wyjeżdżał; mówię to z doświadczenia.

Pozegnałem góry ze smutkiem, z ciężkim sercem, bo mi tak dobrze było na ich grzbietach, okrążyłem całe Tatry od północy i południa, przewędrowałem Spiz i wróciłem na bruk warszawski jeszcze zawczasu, jak dla kronikarza, szukającego materiału w publicznym życiu syreniego grodu.

Nie się tu nie dzieje ważniejszego, z czego wartoby było zdawać sprawę.

Na ulicach tylko wznoszą się barykady; olbrzymie kretowiska kanalizacji porwały miasto w najważniejszych ogniskach ruchu, przejechać niepodobna, przejść trudno; wszędzie rowy, nasypy, przeszkody, o które cokolwiek prawie potykać się trzeba.

Niezaprzeczenie, musi to być konieczne z inżynierskiego punktu widzenia, ale nareszcie staje się nudnem i irytującym dla pospolitego śmiertelnika, który patrzy od kilku lat na eksperymen-ta pana Lindley'a, przejeżdżającego co pewien czas przez Warszawę.

Raz po raz coś się tam psuje, zapada, pęka, za-

lewa, wali, coś poprawiać, przerabiać, przeinaczać trzeba, a niebo jakby się uwzięło na robotę angielskiego inżyniera, wyprawia jemu i przedsięwzięciom budowy rozmaite psoty, podmywa kanały, rozsadza rury wodociągowe i urządza co tydzień jakąś miniaturową powódź na ulicy Królewskiej, która częściej i dłużej staje teraz pod wodą po zaprowadzeniu kanalizacji, niżeli przed jej zaprowadzeniem.

W *Kuryerach* osobną niemal rubrykę stanowią wszystkie te katastrofy kanałowe.

Powiedziałem, że jeszcze niema co robić w Warszawie człowiek żądny wrażeń, nowości, nowinek, przyzwyczajony do żywszego tętna miejskiego, towarzyskiego i artystycznego ruchu.

Nadzieja babiego lata trzyma jeszcze wielu niezrażonych letników i wycieczkowiczów poza murami miasta; najbardziej znacznym przybytkiem ludności jest tylko młodzież szkolna, którą rodzice zwrócili hurmem z wakacji odpasioną, odżywioną i w nowy zapas sił do pracy zaopatrzoną.

Więć i prowincya nadały też pewien charakterystyczny odcień fizioonomii miasta. Spotyka się na ulicach, w teatrach, na przechadzkach mnóstwo twarzy obcych, niewidywanych w innej porze na miejskim bruku; wszystko to przelotne ptactwo, które da się trochę oskubać w Warszawie i pofrunie znowu w swoje strony, aby porastać w pióra do przyszłych odwiedzin z konieczności.

Dla tej napływowej, mniej wybrednej publiczności nie braknie rozrywek w syrenim grodzie; teatryki ogródkowe pod koniec swego istnienia napelniają się teraz dość licznie i choć w części odbijają sobie straty, jakie poniosły wciągu sezonu ubiegłego. Dnie ich już policzone; maluczko a rozbije się trójca współzawodników z Wodewilu, Alhambry i Belle-Vue zacząć się znowu pielgrzymki po prowincyi i szukanie chleba na

partykularzu, gdzie *sztuka* otyłe popłaca, oile zmieniać się potrafi na *sztuczkę*.

W roku bieżącym truppom wędrownym odcia-gnię jeszcze najlepsze siły stały teatr polski w Łodzi, którego kierunek objął p. Łucyan Ko-scielecki, niegdyś zdolny artysta dramatyczny sceny poznańskiej, obecnie główny współpracownik *Dziennika łódzkiego* i cięty felietonista, pi-sujący pod pseudonimem Sarmaticusa.

Nowy dyrektor zaangażował prawie wszystko, co lepsze, z teatrzyków ogródkowych; organizuje personel dramatu i operetki i ma nadzieję w polskim Manchesterze utworzyć scenę wzorową wśród scen prowincjonalnych.

Daj mu, Boże!...

Poza temi rozkoszami Melpomeny wśród antałków piwa, publiczność warszawska ma jeszcze nowych faworytów w Dolinie Szwajcarskiej i w Ogrodzie Zoologicznym; młodociana orkiestra węgierska w czerwonych pantalonach i niebieskich mundurach huzarskich, złożona z samych „Kadetów” z kraju Arpada, ściga tłumy tych melomanów, których ani Noskowski, ani Konopasek i Łusakowski, ani nikt z domorosłych kapelmistrzów przywabić do Doliny nie zdołał.

Być może, że widok tych bębnow, grających na trąbach, co prawda, z wielkiem zacięciem i temperamentem, śpiewających i gwizdających *unisono* na przemiany, stanowi oryginalność niewidzianą w Warszawie i jako nowość ma niezwykle powodzenie. W Dolinie na koncertach malutkich Madarów bywa pełno; ludzie chodzą dla muzyki i dla przekonania się: czy wistocie te nieproporcjonalne pikuliny grają na trąbach, czy trąby na nich.

W Zwierzyńcu znow gościła truppa Syn-galezów z Ceylonu, która od trzech lat jeździ po większych miastach europejskich i pokazuje się za pieniądze moim cywilizowanym



bliznim. Obwozi ich *impresario* p. Hagenbeck i niezle podobno robi na tem interessa.

Mamy w ostatnich czasach szczescie do dzikich gości: w zimie nawiedzili nas Aszanci, w lecie Cejlonczy, — przyznać trzeba, że ci ostatni o wiele lepiej się przedstawiają i w swoich oryginalnych, mnóstwem świecideł obwieszonych kostiumach, na potężnych słoniach, oryginalnie sprawiają wrażenie.

Produkcyje ich nieszczerzalne, popisy muzyczne i choreograficzne mają cechę bardzo pierwotnych dźwięków i skoków; ale wszystko to, jako lekcyja poglądowa etnografii, ma swoje znaczenie i nie bez pożytku przeszło dla szerszej publiczności.

Nie jestem wszelako zwolennikiem tych ludzkich menażeryi, bo widzę w nich ubliżenie godności człowieka.

Z tegosamego względu dziwaczna i niesmaczna wydaje mi się zapowiedziana w tym miesiącu wystawa wdzięków kobiecych w Spaa, na którą ze wszech stron Europy wybierają się podobno piękności po złoty medal estetyki. Bzik, który rozwił się w Warszawie, znalazł swoje urzeczywistnienie zagranicą.

Według doniesień dzienników niemieckich i francuzkich każda wystawowa Wenus da się podziwiać w osobnych salonikach, urządzonych wykwinnie w stylu narodowości „okazu”; przed południem i wieczorem Afrodyty XIX-go wieku będą w odpowiednich tualietach przyjmowały gapiów i wielbicieli cielesnego piękna, idealnych rysów i doskonałych kształtów.

— Chciałbyś pan być expertem na takiej wystawie? — zapytała mnie jedna z pań, której opowiadałem bliższe szczegóły o tym konkursie piękności.

— Za nic w świecie!..

— A to dlaczego?

— Dlatego, że mi życie miłe, że nie chciałbym stracić oczu po wydaniu wyroku przez jury, że byłbym zapewne stronnym sędzią i nie przyznałbym nagrody najpiękniejszej, tylko tej, która by najpiękniej na mnie spoglądała; że wreszcie jestem zwolennikiem zasady, iż „nie to ładne, co ładne, tylko to, co się podoba” i że niema kobiet brzydkich, z tego właśnie względu, taksamo, jak niema najpiękniejszych, któreby zupełnie bezpieczne były przed rywalizacją.

W Paryżu skombinowano dwa cele wystawowe: szykownych piękności i... parasolek; ma się tam bowiem odbyć ekspozycja, oryginalna w swoim rodzaju, na której głównymi okazami będą damskie parasolki, ale trzymane w rączkach najzgrabniejszych Paryżanek.

Boże, czegoż jeszcze nie będziemy oglądali na publicznych wystawach!..

Jestem przekonany, że w sezonie zimowym nasi pomysłowi filantropi spróbują w braku oryginalnych projektów skopiować które z dziwactw zagranicznych, aby odnowić trochę wyexploatowany już zanadto programat publicznych zabaw i widowisk na cele dobroczynne.

Oile mi wiadomo, jesienny sezon rozpocząć ma jakaś niebywała reprezentacja na korzyść pewnej literackiej fundacyi; zajmują się nią doświadczeni organizatorowie takich spektaklów i układają programat z samych sensacyjnych numerów. Słyszałem coś o żywych szachach, o karuzeli, o *journal-parlé*, w którym przyjać mają osobiste udział najcenniejsze siły literackie i dziennikarskie, o pantominie urządzonej przez artystów malarzy etc. etc. Wszystko to zaś podziwiać będzie mogła *tout Varsovie* w zabudowaniach cyrku na Ordynackiem.

Z innych wiadomości mam do zanotowania same pogłoski, potrzebujące sprawdzenia. Oto komuś się przysniło, że w Warszawie ma powstać klub... milezących.

Drugie stowarzyszenie ma cechę prawdopodobniejszą. Oto na wzór Anglików ma powstać u nas nowy rodzaj sportu szybkobiegaczy, mamy się ćwiczyć w chodzeniu i bieganiu, aby wyrabiać siły muskularne i zwiększać kapitał zdrowia.

Być może, iż dojdziemy wkrótce do zbudowania własnego „anthropodromu” w którym odbywać się będą wyścigi piesze.

Warszawie przydałby się taki klub; mnóstwo ludzi prowadzi u nas życie sedenteryjne, mało kto używa prawidłowego ruchu dla zdrowia, a lata całe spędzamy na stołku lub zydelku przy pracy. Dzieci nasze nie gymnastykują się, nie rozwijają fizycznie, wężle i słabe mają nóżki i ramiona; dość spojrzeć w Ogródzie Saskim lub Zoologicznym na chłopców i dziewczątka podczas zabawy: jak mało umie z nich które biegać, poruszać się zgrabnie i swobodnie, skakać zręcznie. Zdaje się, że w nich stawy skostniały, a mięsły wcale nie narosły.

Tosamo zauważyć można i u młodzieży starszej obojga płci.

Zdaje się, że przecież nic łatwiejszego, jak dobrze chodzić, lub biegać: mylnie mniemanie. Zobaczcie: jaki niezgrabny, chwiejny, ociężały, albo niepewny chód mają ludzie na ulicach, jak rzadko zdarzy się spotkać przechodnia, któryby trzymał się prosto, szedł krokiem równym, lekkim, energicznym i robił wrażenie siły połączonej ze zręcznością w gibkich członkach całego korpusu.

Najczęściej widuje się ramiona obwisłe, głowę pochyloną, grzbiet zgarbiony, nogi w kolanaach zgięte, stopy ku sobie zwrócone.

Gymnastyka dolnych kończyn przydałaby się wszystkim mieszczuchom; jeżeli zatem powstanie klub pieszych sportsmenów, wszyscy cheralacy o cienkich łydkach, wąskich ramionach i pogiętych figurach powinni do niego przystąpić, oile nie zechcą zostać członkami towarzystwa kawalerzystów, które również ma powstać wkrótce w Warszawie.

Jazda konna należy do najprzyjemniejszych rozrywek; były czasy, kiedyśmy celowali w niej i umieli toczyć bachmatem na podziw całej Europy, dzisiaj wielu rzeczy oduczyliśmy się z latami i potomkowie słynnej ongi hussaryi na drewnianych koniach w „karuzeli” prosto i dziarsko trzymać się nie umieją.

Wszelki sport tego rodzaju, który rozwija siły fizyczne i zdrowia dodaje, a nie pociąga za sobą wybryków niepotrzebnych i szkodliwych, powinien znajdować jaknajwiększe poparcie i jaknajliczniejszych zwolenników. Gymnastykujemy się, ślizgajmy, wiosłujmy, biegajmy, jeźdzmy konno, bijmy się na rapiery, byleśmy byli silni i zdrowi.

Zanotowałem sobie z tematów bieżących oprócz higieny, jeszcze drugą kwestyą, dotyczącą specjalnie płci pięknej, a podsunął mi ją artykuł jakiejś pani „Praktycznej” w *Kuryerze Codziennym*, która domaga się utworzenia u nas szkoły gospodarstwa miejskiego i wiejskiego, wychodząc słusznie z zasady, że aby coś umieć, trzeba się tego nauczyć, a nie radzić sobie samą intuicyą i powolnym empiryzmem.

Dawniej, co prawda, prababki nasze miały opinią znakomitych gospodyń i ich wiedza w zakresie domowych potrzeb wystarczała—dzisiaj czasy się zmieniły, nie wystarcza sama tradycja sadzenia kur, smażenia konfitur, suszenia grzybów, przedzenia lnu i robienia spiżarnianych zapasów na zimę. Gospodarstwo stało się nauką, przedmiotem bardzo rozległym i wielorakim; naslepo nie podobna iść poomacku w tym kierunku.

Słusznie też pani „praktyczna” domaga się osobnej szkoły dla gospodyń, na wzór takich, jakie istnieją we Francyi, Szwajcaryi lub Danii; mamy przecież zakłady gastronomiczne dla mężczyzn: dlaczegóżby nie można czegoś w tym rodzaju odpowiedniego utworzyć dla kobiet, które według Pisma Św. trzy węgły domu podpierają, a zatem powinny umieć podtrzymywać go tembardziej tam, gdzie słabe już fundamenta i gdzie się ściany chwieją.

Dzięki pani Ówierczakiewiczowej, niezmordowanej mistrzyni młodego pokolenia gospoś naszych, mamy kilka przystępnych podręczników

kobiecego gospodarstwa na wsi i w mieście; ale to niedostateczne do gruntownego wykształcenia, jak również nie mogą wystarczyć dodatkowe wykłady na niektórych pensyach żeńskich, jeżeli chodzi o zasadnicze obznajomienie się w teoryi i praktyce z przyszłymi obowiązkami obywatelki wiejskiej w praktycznym znaczeniu tego wyrazu.

Tego rodzaju projektu, jak pani „Praktycznej”, powinnyby się częściej powtarzać i przypominać; ale zamiast nich co pewien czas wraca np. kwestya utworzenia u nas... kanonu małżeństw, którym chcą nas koniecznie uszczęśliwić jacyś dobrodzieje ludzkości za marny procent od posagów...

Niedawno pewna dama znad Sprei, redaktorka specjalnego organu dla spraw matrymonialnych p. t. „*Generalanzeiger*,” zgłosiła się do Warszawy i ofiarowywała sześć tysięcy rubli na rzecz miasta, a trzy tysiące na korzyść zakładów dobroczynnych za pozwolenie swatania ludzi przez pośrednictwo koncesyjonowanego kanonu i agentów swoich.

Filantropce dano podobno odpowiedź odmowną; będziemy tedy żenić się jeszcze na stary sposób z wiarą naszych pradziadów, że: „śmierć i żona, od Boga przeznaczona.”

Albo to żona sługa, żeby ją sobie przez kanon zapisywać, a męża szukać, jak lokaja za umówioną cenę!..

W miłości nie potrzeba stręczycielstwa, a przy swataniu najczęściej sprawdza się przysłowie, że „gdzie dyabeł nie może, tam babę posle.”

Grubo, ale trafnie wydrwił tę sprawę autor „Córka na wydaniu” i dobrze zrobił.

\* \* \*

Znowu o dwa krzyżyki przyrosła nam nekrologia; w Warszawie zmarł powszechnie szanowany i niepospolity prawnik ś. p. *Zygmunt Krysiński*, adwokat starej szkoły, jeden z tych prawdziwych mecenasów dawnego pokolenia, który uczciwie i szlachetnie przez życie całe służył Temidzie i bronił prawa swoich klientów czystymi rękoma.

Nie pozostawił po sobie zebranego mienia, choć na miliony prowadził cudze interessa, ale pozostawił świetną tradycyą i piękne imię, które ze czcią powtarzane będzie długo jeszcze na wzór i chlubę obrońców naszych przed kratkami sądowymi.

W Krakowie zmarł nagle x. *Ignacy Polkowski*, kanonik i kustosz katedry na Wawelu, członek Akademii Umiejętności, historyk i archeolog, człowiek czynny, ruchliwy, umysł bystry i światły, pracownik pożyteczny i niezmordowany.

Przybył do Krakowa z W. K. Poznańskiego, pisał dużo, szperał w starych księgach i zbiorach, miał łatwość żywego i pisanego słowa i pozostawił po sobie sporo cennych prac w dziedzinie historii i archeologii. Najznakomitszą zasługą nieboszczyka były jego studia nad Kopernikiem i wywody o polskim pochodzeniu naszego wielkiego astronoma.

Przed piętnastu laty ks. Polkowski zakrzępnął się około urzędzenia świetnego obchodu 400-iej rocznicy urodzin Kopernika i wydał wówczas cenną i wyczerpującą jego biografią.

Przeziębł się i nadwreżył siły, wyprawiając kompanię odpustową i spełniając obowiązek gorliwego kapłana; późno wieczorem miał pod gołębem niebem kazanie, które go zmęczyło tak bardzo, że wróciwszy do domu zasnął, aby się więcej nie obudzić.

Umarł, przeżywszy lat 55, w pełni sił i energii umysłu.

Quis.



# ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

I poeta idzie w tę wielką, chmurną, ciężką drogę. Czuje się przewodnikiem, kapłanem i ofiar-  
nikiem ludzkości, stara się torować jej drogę,  
rzuci się w tajemnicze głębie sfinxowo zięją-  
cych na drodze tej przepaści, bierze się za bary  
z potworami zwątpienia i apatii, po strumy-  
kach urwiskach wdiera się ku ideałowi i wskazuje  
tłumom za sobą dążącym świetlaną jego postać.  
Z drugiej strony widzi wśród tejsze ukochanej  
ludzkości krzwiącej się zle wszelkiego rodzaju;  
więc chwytą bicz Juwenala i chłoszczą obłudę,  
i smaga egoizm, i siecze zbrodnie i niekczemno-  
ści wszelkie, aż krew czarna płynąć zaczyna,  
a z nią pierwiastki złego uchodzą, — ludzkość się  
oczyszcza, szlachetnieje i doskonali.

Często zle się buntuje, duchy ciemne burzą  
świat przeciwko apostołowi ideału; urągania, zło-  
ści, kłamstwa, nienawiści uderzają weń z całą po-  
tęgą, ślina szyderstwa i pogardy kala mu obli-  
cze, cierń obłudy rani go na każdym kroku; tru-  
cizny, stopy, krzyże, kamienie, wygnania — świat  
wszystko ma dla niego: a on, wszystko to zno-  
sząc, ciągle i niewstrzymanie idzie naprzód! Ale,  
jakkolwiek naznaczony piętnem geniuszu, nie  
przestaje jednak zarazem być człowiekiem, a ja-  
ko taki poczuwa się do prawa choćby chwilowe-  
go odpoczynku i zacerpnięcia tchu. „Niewątpli-  
wie, o samotności, jam człowiek twardy, marzy-  
ciel pełny męztwa; lecz czyż mogę odpowiadać  
za to, że czasem hart mój topi promień kwie-  
tniowy? Żyję zatopiony w myślach, z duszą roz-  
goryczoną, jak Prometeusz, jak Niobe; widok  
przepaści rozwartych, nienawiści dla zbrodni co-  
dziennie popełnianych, zgroza, pogarda — wkła-  
dają mi w usta hymn surowy... Lecz czasem na-  
głe przeleci strofą napęliającą przestrzeń nie-  
winnymi igraszkami i przybiegnie do mnie,  
uskrzydłona, jakby świeżo odprząglony się od  
rydwanu Wenery. — Posępne wygnanie towarzy-  
szy memu hymnowi smutnemu — i gorzkie są me  
zadumy, jako morze. Przemoc i miecz panują;  
powstają, aby je zgnać; ale czyżem winien, że  
umiem również śmiać się i kochać? Bard jest  
prorokiem; lecz dusza jego stworzona jest z wie-  
lu jasności. Bóg sam jest Bogiem właśnie dla  
tego, że sieje na wsze strony. Czyż to więc moja  
wina, że słońce rozprasza czasami moją żalobę?  
Czyliż to można nazwać słabością, że surowa  
zima pozwala jednak nadejść kwitnącej wiosnie?  
Strofa ma drży, dzwoni, rozmawia z niebiosami,  
karze, mści się, znieważa, wydaje się jednym  
wielkim wybuchem wściekłych okrzyków. Lecz  
duch uspakaja się; wieczne karcenie ciążyć mu  
zaczyna. O lasy! o czyste niebiosy! o cieniu wiel-  
kich dębów!... Porzuca nienawiści i szuka lazu-  
rów. Jak hydra olbrzymia, która przed zaśnię-  
ciem błędzi na powierzchni fali, — posępni myśli-  
ciele wychodzą z ciemności swych, aby zacerp-  
nąć powietrza.“<sup>1)</sup>

A pieśń, która w tych chwilach wytnienia  
wydziera się z serca poety, pieśń ta tkliwa, ser-  
deczna, wesola, słoneczna, pieśń, jaką ptaszyna  
nuci o wiosnie; pieśń, „której głos schodzi z Nie-  
ba i przechodzi w nasze fibry, której rytm roz-  
lany w przestrzeni potrzebuje tylko spotkać lirę  
w nas ukrytą,“ aby jasnymi rozbrzmieć tony,  
pieśń taka potrzebna jest, nietylko dla samego  
śpiewaka, którego orzeźwia i uspakaja, ale i dla  
świata, dla ludzi, dla życia... „W lepszym świe-

cie, o którym czasem marzę, wszystko śpiewać  
będzie; pieśń, — to druh i towarzysz pracy... Kie-  
dyś wszystko zleje się w pieśni takiej harmonii.  
W Zenicie, w Nadyrze Bóg współpracuje z wiel-  
ką, nieskończoną lirą; ptaszyna, śpiewając, po-  
maga wzrastać dębowi. Każda pieśń wzrusza  
oczarowaną naturę; gądzba jest siostrą ogrzewa-  
jących promieni; ulotna pieśń pożytek niesie  
życiu... W wieczornej godzinie, gdy cień usypia  
marzące gniazdeczka, gdy wszystko przygasa,  
na zachodzie ukazuje się świetlana wieczornica;  
gdy wszystkim milknę, podnoszą się głosy nie-  
skończoności; noc chce gwiazdy, cisza — pieśni.“<sup>1)</sup>  
Więc niechaj i poeta śpiewa słodko, radośnie,  
wzruszająco, niech dołącza głos swój do tej ogól-  
nej symfonii, niech nie trzyma się wyłącznie za-  
wrotnych wysokości i głębin przepaści; niech  
nie będzie surowym prorokiem, tylko słup-  
nem ognistym, wiodącym ludzkość przez pusty-  
nie zła i błędu do obiecannej ziemi ideału; niech  
nie przemawia jedynie gromu głosem i organów  
potężnymi akkordy, — ale niech też będzie echem  
cichych a tkliwych drgnień serca ludzkiego,  
niech razem z pieśnią ptaka i słońca promykiem  
przenika w pierś naszą, niechaj prócz mrocznych  
wyżyn szuka też lazurów, niechaj słowiczą pie-  
śnią budzi uczuć roje. „Śpiewajcie, słodcy poeci!  
W waszych gniazdeczkach, pod listowia cieniem,  
nawet u schyłku lat, zorza wam się uśmiecha;  
niechaj-że wam jednym miłość białe nawet złoci  
włosy! Poeta jest pieśnią, która wlatuje w uszy  
nasze, żyje on w słońca promyku; w dzieciństwie  
jest on Platonem, którego pszczoły całują, w sta-  
rości — Anakreontem. O poeci! żyjcie, kochajcie,  
bijcie w skrzydła, promiennie ukryci! Szczęście  
wzywa was na swoje gody nieśmiertelne! — Lecz,  
jeśli chcecie zbliżyć się do przewrotów olbrzy-  
mich, surowych, chaosów dumnych, przepaści  
posępnych, gdzie wszystkie szczyty mają postać  
Kalwaryi, — wyrzeczcie się błękitów! Wyrzecz-  
cie się miłości, wyrzeczcie się godów! Niech zol-  
brzymieją serca wasze, aby — im większe cierpie-  
nie, im większa burza — tem bardziej zwyciężkie-  
mi się czuli. Ród ludzki, od sześciu tysięcy lat  
jęczy w łańcuchach, podnosi nagle czoło i burzy  
się poczyna przeciwko dawnej swej nędzy i da-  
wnym zniewagom. Trzeba być potężnym i su-  
rowym, wchodząc w sferę tych buntów. Bądźcie  
ptakami i wówczas unikajecie tych jaskiń, albo  
też niech z was będą lwy!“<sup>2)</sup>

Być ptakiem i lwem, skowronkiem i orłem w je-  
dnej osobie i, stosownie do chwili oraz porusza-  
nego przedmiotu, tym albo owym wyłącznie się  
stawać — niekażdemu, zaiste, nawet pierwszo-  
rzednemu, dano poecie. Wszechstronność taka  
doła jest i cechą tych wielkich, oceanowych ge-  
niusów jedynie, których żrenica wszystkie wi-  
dnokręgi świata i ducha z równą łatwością i spo-  
kojem obejmuje, pod których palcami wszystkie  
struny liry równie dźwięcznie i harmonijnie roz-  
brzmiewają, których dusza sama jest wielką, ty-  
siącogłosą lirą, powtarzającą, jak echo rozgło-  
śne, wspaniałą symfonią stworzenia. To też wy-  
mienione w powyżej przytoczonym ustępie postu-  
lata, byłyby stanowczo za szerokie w stosunku  
do ogółu poetów; za to, odnośnie do samego Wi-  
ktora Hugo, są one nawet za blade, nie malują  
dość wyraziście całej bezbrzeżności ducha jego,  
całej potęgi geniuszu, któremu żaden zakres pra-  
wie obcym nie był i który na wszystkich drogach  
olbrzymie, słoneczne pozostawił ślady.

Nie charakteryzuje go też dostateczną siłą sta-  
nowiącą wstęp do „Całej liry“, a niewiadomo dla-  
czego polemicznie rozpoczęta przegrywka. „Miej  
muzę pogromczą — woła tu poeta — inaczej zos-  
tańiesz pozartym. Niebo daje dwojaką szatę: jedną  
ugwiazdzoną, drugą lazurową; przywdziejaj na-  
przemian to tę, to ową, i zlewaj na ludzi zkołę. Ja-  
ko sędzia posępny i jako tkliwy apostoł, to cienie  
mroczne, to światła potoki. Bądź nocą, w której  
świecą gwiazd miryady, i znowu słońca promie-  
nistym kręgiem; bądź świadkiem dobra, postę-  
pu — i klęsk najgorszych: oświecaj pierwsze, przy-  
ćmiewaj drugie. Boś ty podobien prorokom, któ-

rzy piorunowali i — uśmiechali się z dobrocią, bo  
burzliwa dusza twoja jest jako niespokojny oce-  
an... Psalteryon straszliwy drga w ręku twem.  
o bardzie — królu, duchu, poeto, duszo niezgłę-  
bial! Zorza wybłyska nad tobą, anioł, przela-  
tując, znaki ci daje, lwy oglądają się za tobą.  
Dzięki tobie, który umiesz czytać w sercach lu-  
dzi, na wszystkim, co czynią żyjący, daje się  
widzieć cień strun liry, wydłużający się jak siedm  
linii olbrzymich, od ziemi ku niebu.“<sup>1)</sup> Słabe to  
stosunkowo i bezdźwięczne preludium do wspani-  
ałej symfonii poetyckiej, jaką autor wygrał na  
ośmiu strunach swej „Całej liry“, dodawszy do  
siedmiu zwykłych jeszcze ósmą, *śpiżową*. I nie  
dziwnego: pochodzi przegrywka ta z czasów, gdy  
retoryka specjalnie przemagać zaczęła u Wikto-  
ra Hugo, podczas gdy większość ustępów, skła-  
dających zajmującą nas obecnie książkę, powsta-  
ła w najpiękniejszych chwilach rozwoju jego  
twórczości. To też wstęp ten, suchy dość i bez-  
barwny, jakby maskuje wejście do skarbnicy  
prawdziwej barw, dźwięków i woni poetyckich.  
Ominąć go trzeba, nie zrażając się, i iść dalej  
w ten ogród, pełny najcudniejszego kwiecia, wi-  
doków niespodzianych, perspektyw czarodziej-  
skich, posągów artystycznych, zaciszny tajemni-  
czych, świegotów dźwięcznych — dalej, dalej —  
a stopniowo podziw, uwielbienie, zachwyt w du-  
szy się obudzą — i ze czcią uchyliny raz jeszcze  
głowy przed olbrzymem, co zza grobu jeszcze tak  
pełnym, dźwięcznym, a słodkim odzywa się do  
nas głosem.

## III.

Jaki był najpiękniejszy sen, ukochane marze-  
nie całego życia Wiktora Hugo, a zwłaszcza  
ostatnich lat jego? Któż nie wie? Zadużo o tem  
mówiono i pisano, zanadto nieustraszenie i nie-  
zmordowanie olbrzym ten bojował za swoją ideę.  
Pokój wieczny, zniesienie kary śmierci, pano-  
wanie światła, wolności, miłości wśród ludzi: oto  
co roił ten wzniosły utopista, na usługi czemu  
oddawał w ostatnich szczególnie lat całą swą  
poezyą, ku czemu nawoływał bezustannie i zwracał  
się od każdej kwestyi, co było stałym epilogiem  
wszystkich jego przemówień i utworów, jak ongi  
*delenda est Carthago* Katona. Mimo niewróża-  
cych bynajmniej jego marzeniom prądkiego urze-  
czywistnienia okoliczności, mimo gęstych ciemo-  
ści złego, fałszu, egoizmu, obłudy, przemocy, nie-  
dopuszczających do ziemi ani jednego promyka  
od słońca wyśnionego przezeń ideału, wielki  
optymista ten nie tracił nadziei ani na chwilę,  
wierzył mocno i niezachwianie, że trzeba tylko  
siać i siać, pracować i znoić się, chłostać zle  
i nawoływać ku dobru, a błogosławiona owa  
przyszłość ludzkości nadejdzie niebawem; bo  
oto zorza jej już rozbłyska na widnokrę-  
gach... Pod wpływem wiary tej całe dwie wspani-  
ałe księgi (satyryczną i epiczną) w „Czterech  
wichrach ducha“, w ostatnim swem za ży-  
cia wydanem dziele, idei tej poświęcał; pod jej  
wpływem wreszcie taki — w epilogu tegoż zbioru  
utworów poetyckich — gorący i natężony hymn  
ufności wyśpiewał: „Co podobnem jest do nie-  
nawiści, nie jest rozwiązaniem ostatecznem —  
a zorza jest pewną; cokolwiek-byśmy czynili, wy-  
silkę człowieka, tego posępnego i uśmiechniętego  
razem męczennika, winny mieć za wynik — szczę-  
ście; życie o jasnym pogodnym wzroku wychodzi  
zawsze z mogiły; każdy potop kończy się lotem  
gołębiczy, nigdy święta nadzieja nie rzekła: „My-  
liłam się.“ Oh, nie poddawajcie się znużeniu, o my-  
śliciele; siejcie pokój, siejcie wiarę, siejcie ideę  
i modlitwę, zlewajcie na te fale ciemności potoki  
światła! Chwała Najwyższemu! postępnę nigdy nie  
przerzywa się w polowie. Nieszczęście złych, za-  
łoba wrogów — nie, to nie może być celem osta-  
tecznym pod tem niebem, przepełnionem dobro-  
cią, przebaczeniem, extazą i zgodą... Dłonie ser-  
decznie zdaleka szukać się będą; wszyscy prze-  
ciwnicy, rozzbrojeni, rozczuleni, rozpogodzeni,

1) „Prawo zacerpnięcia tchu“, XX, ks. II, tom I-szy, str. 125.

1) XIV, ks. IV, tom I-szy, str. 291.  
2) VII, Ks. IV, tom I-szy str. 273,

1) Tom I-szy, str. 1.



staną się braćmi... W braterstwie ogólnem wszystko znajdzie rozwiązanie—a Bóg każe rachunkowi i rozumowi, nauce i wiedzy przyczynić się do tego rozwiązania... O ludy! przyszłość jest już pomiędzy nami. Żąda ona zarówno prawa dla wszystkich, jak chleba dla wszystkich. Spokojna, niezwyciężona, walczy na polu najwyższych zapasów, a widząc, jak uderza, czujemy, że kocha. Patrzmy, jak przechodzi zamaskowana, ta wojownic! Odsłoni ona oblicze swe, o ludy, gdy przyjdzie dzień; tymczasem w cichości spełnia swe zadanie; myśl światła wyblyska zpod jej spuszczonej przyłbicy; walczy za dziecko, walczy za naród, któremu służy, za duszę, której broni, za ideał wolny a jaśniejący... Tarcza jej, na której połyska to wielkie słowo: „Próbujmy,“ utworzona jest z olbrzymiego pęku promieni... Pędzi ona przed sobą, uciekające w nieładzie przed straszliwą jej jasnością, ciemnotę i zabobony, w których serca tonęły, i cały tłum bladych przesądów. Oh! nie obawiajcie się jej, o ludy! Olbrzymki tej imieniem jest dzisiaj walka, a jutro—łaskawość... Cała jej uwaga zwrócona jest na wielki cel, czystszy od najbielszych wierchołków śnieżnych, dalszy od chmur ginących na widnokręgu: Pokój, którego jasność przeblyska w przestrzeni; Harmonia, która przyciąga ku sobie wszystkie pierwiastki; Miłość wreszcie, owo cudowne i gorące promieniowanie.“<sup>2)</sup>

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem stukanie do furtki wzmocniło się. Czy je Dobromira usłyszała nareszcie, czy zwróciło jej uwagę skomlenie psa, dość, że po wscho-  
dach zeszła i do furtki zbliżyła się.

— Kto tam? — spytała.

— Otwórzcie — odezwał się jakiś głos kobiecy—z wieścią przychodzę...

Serce Dobromirze drgnęło. Niepewną ręką, z gorączkowym pośpiechem odsunęła rygiel. Na progu stała nieznajoma jej młoda dziewczyna.

— Luda przysłała mnie po was — rzekła.

Słowa te radośnie napełniły jej serce.

— Luda... Luda... gdzie ona? — pytała stara wzruszonym głosem — biedne dziecko...

Przed nią stała dziewczyna zmieszana nieco wzruszeniem Dobromiry.

— Gdzie Luda? Mów...

— Na Krasnym Dworze...

Mamka nie mogła się zorientować.

— Gdzie? Gdzie? — powtórzyła.

— Koło Wydubyczów... na Krasnym Dworze... w obozie lackiego króla.

Dobromira załamała ręce z przestachu i po-  
dziwienia.

— Biedne dziecko!

Utkwiła oczy w posłaną dziewczynę, jakby pytając o więcej szczegółów, ale dziewczyna odpowiedziała na to innym wykrzyknikiem:

— O! ona taka szczęśliwa... was tylko pragnie mieć przy sobie...

— Szczęśliwa?

— Król ją tak kocha...

— Król? Jaki? Lacki?

— Bolesław...

Wszystko to stanowiło dla niej nierozwiązal-

ną zagadkę: zkąd się tam Luda wzięła, gdzie ją król zobaczył, zkąd przyszło do tego szczęścia i miłości, o których posłana dziewczyna wspomniała. Mimo to serce jej napełniło się dumą i radością, że tę, którą ona piersią swoją karmiła, król pokochał, że z nim czuje się szczęśliwą.

Do dziewczyny się zwróciła.

— Usiądź, moja gołąbko, na runduku... odpoczni... ja zarygluję tylko drzwi w domu i pojedziemy razem.

Pół godziny nie minęło, a już Dobromira z dziewczyną były w drodze.

Wszystko to stało się tak nagle, że Dobromira zapomniała nawet wstąpić do Bracysławowej i wiadomości o Ludzie udzielić. Tyle miała do myślenia, tyle do rozmowy!

Wiedziała, że wojewodę kazał Mściśław powiesić, że Luda poszła szukać trupa ojca, ale nie wiedziała, czy go znalazła. Dziewczyna opowiadała tymczasem cuda o szczęściu i rozkoszy, w jakich żyje Kościelnikówna na Krasnym Dworze.

— A ojca — czy odszukała Luda? — spytała.

— Odszukała... pogrzebała go na Mogile Askolda. Poczem nastąpiło opowiadanie: w jaki sposób Luda odszukała ojca i na Krasny Dwór do-  
stała się.

Słońce już zaszło, kiedy obie kobiety wychodziły z lasu. Przed nimi migać zaczęły budynki.

— Otóż i Krasny Dwór... — rzekła dziewczyna.

Dobromira odetchnęła głęboko.

— Zmęczyłam się... — odpowiedziała.

— Odpoczniecie, matko, u Ludy... ona was pewnie wygląda z tęsknotą.

Rzewność na tę myśl opanowała starą mamkę.

— Dobrze to i łagodne dziecko — rzekła niby sama do siebie.

I tak do Krasnego Dworu przyszły.

### V.

#### Uczta na Książym Dworze.

Grydnica na Książym Dworze, przeznaczona na ucztę, była olbrzymią salą, mogącą pomieścić kilkaset osób, a do niej z dwóch końców przy-  
tykały jeszcze dwie mniejsze. Środkiem jej stały we dwa rzędy dość oddalone od siebie ko-  
lunny, podpierające sufit. Grydnica kniaziowska służyła wogóle dla przyjęcia i uczty—było to zresztą jej, wyłączone przeznaczenie, gdyż choro-  
my mieszkające zajmowały piętrowo. Teraz Książy Dwór wyjątkowo zamieszkiwał Izasław; zwykle mieszkali tu kniaziowie tylko w zimie i w jesie-  
ni, wiosnę zaś i lato przepędzali w teremach za-  
miejskich, których mieli naokoło grodu niemało: Krasny Dwór, Kraśnica, dwór na Berestowie, Olżyn Dwór na Mogile Askolda i teremy Olgi nad Dnieprem, niedaleko maleńkiej drewnianej cerkiewki Ś-go Andrzeja. Obecnie bieg wypad-  
ków, których byliśmy świadkami, kazał Izasła-  
wowi zamieszkać w grodzie, mianowicie na Książym Dworze. Kto na Książym Dworze mieszkał, ten kniaź był w Kijowie; taka była powszech-  
na opinia. Sto lat składało się na nią: na Książym Dworze mieszkała Olga, Świętosław, Włodzimierz i Jarosław. Nietylko z powodu tradycji pewną wagę do Książego Dworu przywiązywał Izasław: w obecnym stanie rzeczy był to dla niego punkt najdogodniejszy, gdyż mając na uwadze niedawno zaszłe wypadki, musiał czujnie śledzić wszystkie obroty Kijowianów, aby na stolicę wielko-  
książęcą nie zaprosili Świętosława lub Wsze-  
sława. Rzecz więc bardzo prosta: łatwiej było śledzić wszelkie obroty z Książego Dworu, niż z pozagrodowego teremu.

Przez całą długość grydnicy, jakoteż w dwóch komnatach, dotykających jej ustawiono stoły. W grydnicy, gdzie książęta zasiadać mieli, stół nakryto obrusem z wyszywaniem kolorową ni-  
cią, tu i owdzie pojedynczo lub małemi grupami widać było koguty, łabędzie lub fantastyczne gryfy. Obrusy zakończyły się szerokim szlakiem, ozdobnym w kwiaty i fantazyjne kombinacje krzyżkowej roboty. W obu przylegających ko-  
mnatach stoły nie miały żadnego okrycia tylko wygładzoną dębową powierzchnią, której rogi

ozdobione były kwiatkami rzeźbionymi zgruba, widać przez miejscowych artystów.

Zastawa kniaźego stołu w grydnicy była imponująca bogata i okazywała grecki przepych, do jakiego przyzwyczaili książęta ruskich zamożni sąsiedzi. Po brzegach stołu ustawiono w pewnym oddaleniu srebrne talerze napół głębokie, a przy każdym z nich była srebrna łyżka, okrągła prawie i nóż, oprawny w róg jeleni. Cały środek stołu zajmowały olbrzymiej wielkości srebrne i złote naczynia. Uderzała na pierwszy rzut oka rozmaitość tych półmisek. Jedne były wąskie, płaskie i długie, z obu stron zakończone wielkimi srebrnymi uchami; drugie, mniejsze nieco, o formie owalnej, inne nareszcie okrągłe prawie zupełnie. Każdy z owych półmisek miał swoje wy-  
łączne przeznaczenie: pierwszy nazywał się baranim, drugi łabędzim, trzeci kurniczym, z tego powodu, że na pierwszym mieścił się cały upieczony baran, na drugim łabędź, na trzecim pasz-  
tet z kury. Takich tedy półmisek było, zdawało się, bez liku. Pomiedzy nimi i obok nich leżały, odznaczające się rozmaitością, czasze, rogi i kubki o rzeźbionych rączkach, w głowy węzów, niedźwiedzi, w sępie dzioby zakończone.

Jeden koniec stołu świecił jeszcze większym bogactwem: talerze i łyżki były tam złote, czasze misterniej rzeźbione i większe. Był to koniec zwany Książym; przy tym końcu zasiadli kniaź Izasław z synem, Bolesław, Bolech Jastrzębiec i jeszcze kilku wojewodów i posadników, których kniaź do swego boku zaprosił. Izasław i Bolesław siedzieli na podwyższeniu.

Kiedy już wszyscy do stołu usiedli, weszło do grydnicy kilkunastu otroków, jednakowo, ale z wielkim przepychem ubranych: byli wszyscy w czerwonych kaftanach bez rękawów, w czarnych lisich czapkach, a na szyi, na wielkim złotym łańcuchu, każdy z nich miał zawieszoną grzywnę. Szli po dwóch rzędem wprost do knia-  
żego końca przy stole i, oddawszy głęboki ukłon, przed Izasławem i królem zatrzymali się. Jeden z otroków, idących przodem, pełniący obowiązek krajczego i podczaszego i ozdobiony, oprócz grzywny, wielkim złotym kołczykiem w lewym uchu, o krok jeden naprzód postąpił i poraz drugi mil-  
czący pokłon oddał Izasławowi i gościom, a po-  
tem rzekł głośno:

— Miłościwy kniaże, jadło gotowe!

— Dawać! — odrzekł krótko Izasław

Otrokowie znowu pokłonili się kniaziowi i go-  
ściom, poczęli zabierać ze stołu półmiski i wychod-  
zili parami taksamo, jak przyszli. Tymczasem inni otrokowie do czasu i kubków nalewali.

Za chwilę poczęto wnosić jadło. Na pierwszym półmisku był łabędź pieczony. Podawano go tyl-  
ko na ucztach książęcych, uważając za nie-  
zbędną potrawę każdej wielkiej uroczystości. Krajczy postawił pierwszy półmisek przed knia-  
ziem i gościem, w ślad za nim wnoszono inne, je-  
den po drugim, tak, że wkrótce cały stół był za-  
stawiony najróżnorodniejszym jadłem. Każdy z biesiadników wybierał sobie co mu najwięcej smakowało i wogóle obecnością kniazia ani jego gości nikt się nie ścieśniał. Do picia podawano miod sycony; tylko kniaziowi i wybitniejszym gościom nalewano do rogów i kubków drogie greckie wino.

Ożywienie i wesołość stawały się coraz gło-  
siej, a żywszymi; miod rozwiązywał języki.

W połowie uczty, wśród brzęku noży, talerzy i czasz, jakby wtór do tej wesołości, która coraz szersze i swobodniejsze przybierała rozmiary, grzmiał chór demestyków pieśń na cześć kniazia i gości:

To nie słońce świeci wesoło:

To Izasław z bojarami ucztuje;

To nie gwiazdy na ziemię patrzą:

To błyszczą jasne kniaziowskie oczy.

Na kogo spojrzysz—temu szubę da,

Do kogo rzeknie—czaszą obdarzy.

Obok kniazia siedzi drużyna

I gość siedzi, wielki król polański,

Mocnej ręki, silnego ramienia.

Jego siłę zna ziemia węgierska,

A ostrze jego szabli błyszczącej

Tępiło się na karkach niemi eckich...

<sup>2)</sup> Les quatre Vents de l'Esprit, ed. Hetzel-A. Quantin, 1881, vol. II, p. 313.



Skonały głosy pieśni. Żywa rozmowa, dźwięk srebra i złota zgłoszyły ostatnie echa.

— Niechaj żyje książę nasz! — zawołał ktoś podochocony z szarego końca, od drużyny.

Warażko, który siedział opodal kniazia, nachmurzonem okiem powiódł po drużynie; chmiel szumiał mu już w głowie.

— A jakiego kniazia chwalicie? — zapytał butnie. — Czy tego, który w pieśni szubami oddarza, czy tego, któremu my musimy sobole i kuny składać?

Zdawało się, że na te słowa nikt uwagi nie zwrócił; krzyczano dalej, podnosząc czasie do góry.

Z drugiego końca zakrzyczał, przypochlebiając się, bojarzyn Czudyn:

— Żyj nam długie lata, miłościwy książę!

Jednak przymówka Warażka nie uszła uwagi Izasława; trafiła go w samo serce; widać było gniew, który w nim się burzył.

Silił się zapanować nad sobą.

— Widzi mi się, Warażko — rzekł — że z Bielhorodu ani jednej kuny nie przyniesli...

Warażko nie zmieszał się i stawiał się hardo.

— Dobierzesz się, książę, i do Bielhorodu; jeszcze nie miałeś czasu... Kijowianów *podużales* już...

— Podużalem, bo chcieli dużać się ze mną — odparł Izasław — Gdzie dużają się tam jeden drugiego podużać musi.

— Dobrze mówisz, książę! Szkoda tylko, że podużales swoich, a nie umiesz podużać Połowców.

— Podużamy z bożą pomocą i Połowców.

Warażko zamyslił się chwilę.

— A z czemże teraz wystąpisz na Połowców? Starej ojcowskiej drużyny nie masz w poszanowaniu... Wojewodów powieszales... będziesz chyba z Czudynem i Sławoszą wojować? Lud tobie nie luby, a ty ludowi! Póki ten młody król — Warażko skinał głową ku Bolesławowi — siedzi u nas, póty siedzą cicho i Połowcy... Nie bój się; mają oni także węż dobry! Nie stanie tobie gościa: nie dasz znowu rady... i znowu będzie bieda!

Powstało pewne niezadowolenie, zwyczajne w takich razach; jedni gniewali się na Warażka, że na uczie spiera się z kniazem, drudzy, że mać wesołość.

— Hej stary! — krzyczał Czudyn. — A jaki ci to miód tak gębę rozwiązał? Czy nie wiesz niowy?

Warażko nie dał się zmieszać.

— Tensam, który wam oczy pozamykał — odciął się.

Wyraźnie uwydatniły się dwa stronnictwa: stare, które nie mogło zapomnieć i darować Izasławowi tej swobody, a raczej samowolności, z jaką gwałcił prawa obyczajowe Kijowianów, z jaką pomiatał starymi bojarami i wojewodami ojca swego, i nowe, na które składały się siły młode, awanturnicze nieraz, oddane kniazowi — za sobolą szubę. Stare stronnictwo było jeszcze silnem i strasznem dla Izasława. Jakkolwiek zdawało mu się, że, ukarawszy śmiercią lub więzieniem tych, których uważał za niebezpiecznych dla siebie z jakichbądź powodów, pozbędzie się nieprzyjaciół; jednakże codziennie przekonywał się, że ukarać wszystkich nie było możności, bo, jak zawsze, tak i dotąd, cała ludność Kijowa i wszyscy posadnicy, których jeszcze Jarosław na urządzie posadził, występowali przeciwko niemu. Upokorzył się przed siłą ze strachu, ale przy pierwszej sposobności podnosili głowy. Byłoby jeszcze do rzezi przyszło między Kijowianami a Izasławem pierwszego dnia, kiedy zasiadł na opuszczonym niegdyś przez siebie tronie wielko-książęcym gdyby nie pośrednictwo Bolesława.

Młode stronnictwo było słabe i bez wpływu; składało się niemal całkowicie z grupy pochlebów, kłaniających się z pokorą Izasławowi — za sobole i grzywny. Kiedy starzy bojarowie z wielkim odznaczeniem się traktowali zawsze Króla Polskiego, — młodej drużynie tem więcej był Bolesław i jego pobyt na Rusi nienawistnym. Póki siedzi Bolesław na Krasnym Dworze, zdawało się im, że Izasław musi z nim dzielić władzę wielko-książęcą, a jego rola wydawała się

im rolą opiekuna i pośrednika. Dalej nic nie widzieli.

Żarty i przycinki rozpoczęły się z obu stron, tembardziej, że i miód, hojnie nalewany do czas i kubków, w jednych obudzał wesołość, w innych tajony w głębi duszy gniew na jaw wydobywał.

Otrok nalewał właśnie miód do czaszy Warażki. Czudyn rzucił nań okiem złośliwie:

— Nie pij, stary — wołał głośno, chcąc się kniaziovi przypodobać — do Bielhorodu nie trafisz...

— Na Oboloni zastręgniesz — ktoś dodał.

— Połowce cię schwyca...

Warażko niecierpliwił się, to gładził, to zagryzał wąsy.

— Połowce mają rozum — odrzekł wreszcie. — Wiedzą oni dobrze, kiedy na gród napadać można. Jak jest w Kijowie tylko taka drużyna, jak wy, to Połowce co dnia w Łybedi konie poją; ale jak jest blisko Kijowa drużyna lackiego króla, to Połowce cicho siedzą.

Nie podobały się te docinki Izasławowi; lekceważono go zbyt widocznie, ale milczał, niby uwagi nie zwracał — rozmawiał z królem.

Czudyn zalecał się kniaziovi.

— Nie pleć, nie pleć, stary — wołał do Warażki. — Nie było przecie u nas Króla Lackiego, a biliśmy się z Wsześławem i z Połowcami...

— Biliście się, ale was pobili...

Uczta przybierała charakter niemiły dla Izasława; zresztą i pozycja króla stawiała się nie taką wcale, jaka się gościowi należy. Potrzeba było rozmowę pokierować inaczej.

Bolesław do Warażki się zwrócił.

— Nie mnie mają się lękać wrogowie wasi, panie posadniku — odrzekł — mam ja kłopotu i ze swoimi dosyć...

Poczem pochylił się do Izasława przyjacielsko i zlekka za brodę go ujął.

— Nie mnie się bać — ciągnął — ale tego się wam bać potrzeba, to strasza głowa...

Uśmiechnął się Izasław; zrozumiał myśl Bolesława.

— Miłościwy królu — odpowiedział na to spokojniej Warażko — nie bać się chcemy naszego kniazia, ale kochać go — trzeba więc, aby i on nas kochał.

Izasław, korzystając z lepszego usposobienia zebranych, wywołanego słowami króla, ze swojej strony starał się zatrzeć niemile wrażenie.

— Czasem i karać należy — rzekł — karać rzecz ciężka, a trzeba. Ty wiesz, Warażko, że i ojciec mój karał drużynę, gdy nieposłuszną była, a lud go miłował. Jak zawiniła, sprosił wprawdzie na ucztę na dwór Paramoni — ale ucztę krwawą wyprawili... a tymczasem kiedy wieść nadeszła o zabójstwach Świętopełka, żałował i mówił: drużyno moja kochana, wczoraj cię pozabiłem, a dziś byłabyś mi potrzebna!

Młoda drużyna, przypochlebiając się kniaziovi, krzyczała chórem:

— Dobrze mówisz, książę! Kto zasłużył — karać potrzeba...

Starzy milczeli. Słowa Izasława brzmiały groźbą dla nich.

Po chwili znowu głos zabrał Izasław:

— Ja was, Kijowianie, nie na ojcowską ucztę zwołałem — mówił — chcę żyć z wami wesoło w drużbie i miłości.

Poczem skinał na otroka pełniącego obowiązek czasznika i coś mu półgębkiem powiedział; wśród gwaru panującego w grydnicy nie słysząc nie było. Otrok napełnił czasę winem greckiem i, pokłoniwszy się, stanął przed posadnikiem bielhorodzkim.

— Książę posyła waszej miłości czasie — rzekł. Było to dowodem łaskawości i przebaczenia kniazia.

Warażko podniósł się z siedzenia i czasie przyjął, a zwróciwszy się ku tej stronie, gdzie Izasław siedział, pokłonił się i rzekł:

— Jeżeli pragniesz żyć z nami w drużbie, niech ci, miłościwy książę, drużba będzie nagrodą.

I czasie wychylił do dna.

Przy Warażce siedział nachmurzony Wyszatycz, zasłuchany w przepieranie się z kniazem i milczał. Kiedy sprzeczka Warażki z knia-

ziem zdawała się być nieco załagodzoną, zwrócił się do sąsiada Wyszatycz:

— Nadto już mocno łajesz kniazia — zauważył.

— Chcesz, abym go po głowie gładził? Niema za co...

— Prawda, że swoich gładzić niema za co, ale niema za co i obcych! Chyba na to, ażeby pycha w nich rosła.

Jakoż ta mowa nie podobała się Warażce. Spojrzał mu bystro w oczy.

— A ciebie jaki żmij ukąsił? Dawno to wygadywałeś na kniazia, a teraz na chwałę ci się zebrało? Nie miałeś oczu, nie miałeś uszu — nie widziałeś, nie słyszałeś, co z nami wyrabiał?

Wyszatycz nie wiedział co mówić.

— Dokuczasz mu, drażnisz... — zauważył — jakbyś go umyślnie chciał rozjuszyć.

— Prawdę mu mówię — nie więcej.

— Złego złem nie poprawisz: trzeba innego sposobu.

Wyszatycz przymuszonym, głuchym głosem się zaśmiał.

— I płakać nie każdy potrafi! Luda pocieszyła się prędko.

Warażko mu odciął:

— Zazdrość w tobie kipi! U ciebie Luda na myśli, u mnie kraj i ludzie!

Zapanowało wesołe usposobienie, chociaż rozmowa Wyszatycza z Warażką uwagi Czudyna nie uszła. Ażeby jakoś zatrzeć ślady kłótni i przypodobać się zgromadzonemu, Izasław kazał zawołać taneczników i grajków, którzy przyszli w orszaku gymnastyków i błaznów. Cała ta liczna gromada ludzi zbliżyła się do kniazia, oddając mu pokłon głęboki, a jeden wysunął się naprzód.

— Pozwól, miłościwy książę, ciebie i gości rozweselić!

Izasław głową skinał.

Miało się już ku końcowi uczty. Izasław z Bolesławem powstali i zbliżyli się do okien wychodzących na runduk, gdzie grupowali się grajkowie. Był to rodzaj olbrzymiego balkonu pod nakryciem, gdzie nieraz odbywały się nawet uczty wyprawiane przez kniazia drużynę.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXIII.

**Lena**, dramat w 4-ach aktach, (6 odsłonach) *Maryana Jasieńczyka* (Wacław Karcewski); zaszczytnie odznaczony na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiego w Warszawie 1886 r. — przedstawiony poraz pierwszy d. 5 Września r. b. na scenie Teatru Letniego. — Teatra ogródkowe. **W Tatrach**, obraz sceniczny w 4-ach aktach *Klemensa Junoszy*, muzyka L. Noskowskiego — w „Wodewilu”. **Ptaki Niebieskie**, komedia w 3-ach aktach *Zygmunta Przybylskiego* — w „Bellevue”. **Walka o córkę**, melodramat w 5-ciu aktach z kupletami i śpiewami, na tle życia mieszczańskiego, oryginalnie napisany przez *Pawła Kościńskiego*, z muzyką Kornela Nowackiego; odznaczony na konkursie *Eska Muzycznego* — w „Alhambry”. **Zołzikiewicz** na scenie przy pomocy pani Mellerowej, p.p. Galasiewicza i Noskowskiego. Wiele innych jeszcze dramatów, melodramatów, obrazów i komedii.

Ujrzeliśmy nareszcie towarzyszkę *Alberty Wójta* na scenie naszego teatru. Przedtem znać ją było można tylko z *Życia*, które w roku przeszłym dało jej miejsce w swych łamach. Przed sędziami konkursowymi stała ta *Lena* podobno w innej postaci, niż przed czytelnikami sympatycznego tygodnika: była śmielszym dziecięciem natury, ale i nieszcześliwszą też w tragicznym losie swoim kobietą. Na scenie ukazała się taką, jaką była w *Życiu* — i na taką też rzucimy tu trochę krytycznego światła. Nie wiem: czy p. Karcewski jeszcze przed *Leną* napisał jaki utwór dramatyczny; zdaje mi się tylko, że dramat obecnie przedstawiony jest pierwszym, za który przyjął odpowiedzialność przed krytyką i przed publicznością. Dobrze to już, że pod tym ciężarem nie padł: ma przed sobą drogę otwartą i iść nią może jaknaj-



dalej i jaknajwyżej — bo drogi poetów idą zawsze pod górę; dobrze i z tego względu, że może bez goryczy, z jasnością swobodnego rozumu, a z pożytkiem dla siebie, słuchać tego, co mówią o jego ukochanej, pierworodnej *Lenie*.

Państwo Zbrodowscy, on szlachcic dostatni (byli jeszcze tacy przed kilku laty, kiedy p. Karzewski pisał swój dramat), wydają córkę swą za hrabiego Gustawa Narolę, sięgającego po jej rękę tylko dla schwytania posagu. Czterdziestoletni Naroła zwietrzył zupełnie na lekkim życiu, rozsypuje się już na proch; jako istota moralna istnieć już przestał; cynizm lekceważący uczciwość wżarł się już w niego głęboko: sprzedanie żony staremu jakiemuś księciu będzie świetnym interesem, a ten zamiar niegodziwca stanowi oś obrotową dramatyczności w sztuce. Dziewiętnastoletnia Lena jest, przeciwnie, istotą moralnie nieskażoną, uczuciową, poetyczną; przed małżeństwem lubiła Janka Rogockiego, z którym prawie razem wzrosła i przywiązała się do niego niby jak siostra, niby jak nie-siostra. Przytem wszystkim jest to istota płytka i dzięki temu namowy rodziców wystarczyły jej do oddania ręki hrabiemu: nie za niego wyszła, ale za jego prezenta wspaniałe, za uprzejmości przedślubne, za tytuł hrabiowski. Gdy już została hrabiną, odczuła pustkę w duszy. Mąż bez serca nie mógł jej kochać, biedni, wspierani przez nią nie są dla niej przedstawicielami cierpiącej ludzkości, której ideał mógłby jeszcze jakotako, choćby na pewien czas, życie zapełnić; rodzice daleko — dziwnie jakoś odgradzeni; obowiązki w domu prawie żadne, bo Bóg małżeństwa tego nie pobłogosławił potomstwem: po dwóch tedy latach Lena w tęsknocie i żałości deklamuje *Wierzbę na pustkowiu* Asnyka. Pewno nie deklamowała jej, będąc panną; dopiero nieszczęście nauczyło ją tych pięknych wierszy.

Ale nieszczęście w małżeństwie uczy także i szczęścia poza małżeństwem. Nauka taka poszła *Lenie*, dobrze zwłaszcza, że ją sam mąż jej ułatwia. Nie pojmuję dlaczego obaj godni przyjaciele: Gustaw i Kłóński — szubrawiec żyjący ze „złotej młodzieży“ — urządzili sprowadzenie Janka do Warszawy. To, co nam mówią w akcie II, nie zasługuje na wiarę, sprzeciwia się bowiem logice: właśnie najlepszym środkiem na odepchnięcie *Leny* od starego księcia Jerzego jest przypomnienie jej żywe dawniej, niby siostrzanej, a zawsze najniebezpieczniejszej, miłości dla młodego Janka. Dość, że p. Rogocki, posłuszny autorowi, a wezwany przez ciocię, miłą dobrą, z dobroci aż głupią, starą pannę, stawia się w mieszkaniu hrabiego. Przez dwa lata tułał się po świecie, aby w sobie stłumić uczucie, które nareszcie okazało się mu miłością; po dwóch latach nie wątpi już, że kocha i jest kochanym. Wcale się nie myli co do wzajemności *Leny*, której jednakże ta samowiedza kochania bynajmniej nie przeszkadza zrobić ostatniej próby nawrócenia męża na prawą drogę miłości małżeńskiej. Prawiąc mu moralą, to małe dziewiętnastoletnie stworzonko, wspierające biednych, modlące się po kościołach, umie nawet zacięciem swoim przypomnieć księżną Jerzową Dumasa. Apostolstwo jej nie wiecie się przecie: karmiony słowikami, fiołkami, całą sielanką, hrabia Gustaw puszcza nauki moralne mimo uszu i płynie spokojnie do portu.

Metoda uprzątniania przeszkód dramatycznych kwitnie w całej pełni. Głupiuchna Ciocia Olesi wierzy w to, iż Janek musi wymyśleć jakiś lubczyk dla hrabiego, aby zaczął nareszcie kochać swą żonę; a źle wychowany i dziwnie niezręczny książę otwiera przed *Leną* całą otchłań słomoty, w jaką własny mąż zepchnął ją pragnie. Czysta, tkliwa lilia, po pierwszem, brutalnym i ze względu na towarzysko-społeczne stanowisko nieprawdopodobnym, wyznaniu księcia, podaje spokojnie ramię staremu rozpustnikowi, aby wrócić z nim do towarzystwa. Nie wraca przecie, bo ją przykuwa do miejsca straszliwa prawda, usłyszana z ust księcia. Stary wychodzi; zjawia się Janek, jakby na zawołanie, ale zjawia się i mąż: ona ciska mu w twarz własną jego nikczemnością, on spokojnie ciosy przyjmuje, a korzystając znowu z nierozumu Janka, który

nie miał żadnego prawnego tytułu do ujmowania się za *Leną*, z oskarżonego sam nagle oskarżycielem się staje i na zakończenie wydaje słuszacemu rozkaz: „Poświęć temu panu.“

Co robi na to Janek? Posłuszny wyjdzie — co *Lena*? Prowadzić będzie dalej rozmowę. Dopiero potem uczuje, że dach się jej nad głową pali, że stopy piecze jej żar. I cóż wtedy? Znowu zjawia się Janek; znowu jako zbawca — ale już nie w myśl nieoszacowanej cioci: owszem, przyjaciel paniństwa, ma wyrwać *Lenę* z jaskini mężowej. Wyświecenie przed chwilą wcale nie wstrzymało stopy przed progiem bądzcobądź hańby. Ale jak poprzednio, tak i teraz, ten Janek jest prawdziwie piętem kołem u woza dramatyczności. Kobieta posiadająca dostateczne środki materialne, mająca przy sobie poświęconą ciocię, dbającą o opinię, dbającą nawet o ukochanego, choćby tylko przyjaciela lat dziecińczych, w chwili opuszczenia męża — jeżeli tylko ma jakikolwiek instynkt kobiecości — unikać właśnie będzie wszelkiego pozoru współnictwa. Jankowi i *Lenie* miłość przegrywa jeszcze na anielskich harfach: ani rozumowanie przeto, ani bezwiedny popęd namiętności nie zdoła usprawiedliwić potrzeby wezwania Janka: można było bez niego posłać po konie pocztowe, i bez niego wyjechać do rodziców za Białobrzegi — tak niedaleko!

A rodziców dobrał Jasięńczyk *Lenie* takich, że trudno byłoby znaleźć lepszych do wywołania podręcznej tragedii. Po wyjeździe żony — ostatecznie z ciocią, nie z Jankiem — hr. Gustaw posłał do pp. Zbrodowskich swojego *famulusa* Kłóńskiego, aby ich zawiadomić o ucieczce żony wraz z kochankiem, i nakłonić do odesłania jej tam, gdzie jest jej prawne zamieszkanie. Rozlega się trąbka pocztowa; wchodzi niepoń i bełkocze swoje kłamstwa. P. Zbrodowski mało go zna, ledwo go sobie przypomina; a pomimo to wierzy mu naślepo: więc kiedy potem rozlega się inna znowu trąbka pocztowa i wpada dziecię jedyne, dziecie dawno niewidziane, ten *ad hoc* ojciec ma już gotowe dla niego przekleństwo. Mogłoby to być prawdziwe, gdyby jakiekolwiek poszlaki poprzedziły oskarżenie; ale p. Zbrodowski poszlak żadnych nie miał, o spotkaniu się nanowo Janka i *Leny* wcale nawet nie wiedział; hr. Gustaw jakoż woła za świętego nie miał i gdyby nawet był obcym zupełnie człowiekiem i całą tę historią ucieczki z ust takiego Kłóńskiego usłyszał, to i wtedy jeszcze, wiedząc tylko o uczciwości *Leny*, poczekalby aż mu ktoś lepiej znany, który z kochanych zażyłych sąsiadów, opowiadanie potwierdzi. A tu ojciec własny odrazu słucha — wierzy i kłnie. Wprawdzie w I akcie już domyślamy się, że Zbrodowski nie musi być bardzo mądrym, a dostrzegamy w nim zarysy lekko myślności i pychy; ale to jeszcze nie nadaje mu prawa do ślepej wiary w słowa niegodziwca, przysłanego przez drugą stronę, zwłaszcza wtedy, gdy idzie o tak ważną sprawę, jak cnota i honor córki. Pierwsze popędy myśli w rodzicach nie idą nigdy przeciwko dzieciom — lecz przeciwnie, za nimi. Tylko prawdziwie czysty moralny charakter może w jednej chwili wybuchnąć gniewem lub żalostí; ale instynkt rodzicielstwa powoła zaraz do działania trzeźwy rozsądek, a ten przedewszystkiem niedowierzać i o dowody zapytywać zaczyna.

Osobliwi to zresztą rodzice ci państwo Zbrodowscy! Mieszkają o kilkanaście mil od jedyne go swego dziecka, a przez całe dwa lata nie mieli jeszcze ani czasu, ani sposobności dowiedzieć się o tem, że hrabia nie kocha ich córki, że jest letkiewiczem i cynikiem, że zdradza ustawicznie żonę, że leci w przepaść ruiny majątkowej i że skutkiem tego wszystkiego dziecię ich rodzone musi w opuszczeniu, smutku i tęsknocie, pocieszać się wierszami Asnyka, dobrymi uczynkami miłosierdzia, — bzdurstwami towarzyskimi wreszcie, gdyż nawet pociechy macierzyństwa są mu odjęte.

Prawdziwie, autor silił się na to, aby tragiczność wykrzesać z głupoty ludzkiej; jeden tylko hr. Gustaw w całym dramacie ma rozum: i dlatego tak swobodnie, z taką pewnością i takim skutkiem, na złe go używa.

Sztuka kończy się śmiercią Janka — w późno-

nym, wielce spóźnionym, pojedynku. Dla oryginalności odbywa się on w mieszkaniu Gustawa. Po odrzuceniu przez rodziców *Lena* mieszka w Warszawie, czekając na rozwód, a po rozwodzie na małżeństwo. Prawda przez pół roku miała czas wypłynąć na wierzch: rodzice przyjeżdżają przeprosić swe dziecko. Janek — ciągle dzieciak — przed pojedynkiem przychodzi pożegnać się z *Leną* w sposób wysoce demonstracyjny, a przez niezręczność ciotki Olesi jeszcze zaostrożony. *Lena* wpada do dawnych swych apartamentów, ale już zapóźno: Janek leży nieżywy. Pod ogromem cierpienia wpada biedna w obłęd — i na tym obłędzie kończy swe życie w sztuce p. Karzewskiego.

W *Lenie* czuć wielką już surowiznę, ale czuć także i świeżość. Dramat potrzebowałby nanowo napisać, aby w granicach danego pomysłu był dobrym, ale pomysł sam technicznie poezyą. Najsilniej pociąga nas ku niemu czystość dusz dwojga dzieciaków i uderzający w nich grom, tak niezasłużonego, tak niczem niezapracowanego nieszczęścia. Niema w tem żadnego pesymizmu, niema rozmyślnego oczerniania świata i niemiłosiernych praw jego: jest poezya smutku, którą nie sami tylko zmyślają poeci, bo rzeczywistość więcej jej w bezwiedności swej przynosi, niż mniemać może przeciętny, spokojnie śpiący filister. Dlaczegożby się nie miało kończyć wszystko podwójną śmiercią? — tylko że do takiego rozwiązania prawdziwy dramaturg byłby doszedł inną, prawdziwszą drogą. Na p. Karzewskim stwierdziłem znowu fakt wskazywany już przy każdej prawie nowej sztuce, że wypadek, przystęp, scena, efekt — bywają u nas przedmiotem szczególnej pieczołowitości; gdy, przeciwnie, *charakter*, t. j. dusza człowieka wytwarzanego przez sztukę, daje się pochwylić tylko jako wypadkowa przygód, scen, efektów, słów wymawianych — i nie ma własnego swego istnienia tak, aby od pierwszej do ostatniej sceny mogła być rzeczywistym, prawowitem ogniskiem źródłem takich, a nie innych, wybuchów, — takich, a nie innych, wyrazów dialogu. *Lena*, jako *charakter*, jest bardzo wątła; Janek wymyka się z rąk; Zbrodowscy tylko wypunktowani. Oprócz Gustawa z należytą wyrazistością narysowani są tylko: Ciocia i Kłóński. Książę Jerzy ma znaczenie prostego symbolu rozpusty i cynizmu towarzyskiego. Para służących niczem oryginalnem się nie odznacza.

Panna Wisnowska — po długiej, bardzo długiej nieobecności, która już groziła jej zapomnieniem — ukazała się w nowej roli: była *Leną*. Przywatości charakteru *Leny*, przy ogromie skali, rozciągniętej od naiwnego zjawiska w akcie I do tragicznego bólu w akcie IV — rola szła niezłe, najlepiej w miejscach jaśniejszych, weselszych. P. Prażmowski czuł się jakby nie-swoim w roli Janka: istotnie rola to bardzo niewdzięczna i ze wszystkich absolutnie najgorsza. Pan Ładnowski i p. Rakiewiczowa (Zbrodowscy), zasłużyli sobie na uznanie za podjęcie się ról tak nikłych. P. Wolskiemu braknie jeszcze siły na takich Gustawów, a p. Leszczyńskiego szkoda było na księcia. Nie przesadzimy w pochwałach, mówiąc, iż dawno nie widzieliśmy tak dobrej roli kobiecej potocznie charakterystycznej, jak rola Cioci Olesi w grze pani Niewiarowskiej. P. Szymanowski swoim Kłóńskim zupełnie zadowolnił widza. Wprowadzony tylko dla uciechy paradyzu i przerwania sieci tragiczności w akcie IV, odsłonie II, Kołkiewicz, znalazł przedstawiciela w p. Grzywińskim.

(Dokończenie nastąpi).

## LIST Z CZECH.

Teplíce — d. 2 Września.

Co lato mnóstwo osób wyjeżdża od nas do Czech — do zdrojów leczniczych, których ilość wielką znajduje się w tej bogato od przyrody wy-



posażonej krainie; lecz większość podróżników naszych styka się tylko z ludnością niemiecką, a przynajmniej z ludnością, używającą w rozmowie z przybyszem obcym języka niemieckiego, i podróżnicy owi nie czują, nie myślą wcale, że znajdują się w kraju pobratymczym. Aby się o tem dowiedzieć, że nie jesteśmy tu w Niemczech, trzeba najpierw zatrzymać się w Pradze, w *Złotej Pradze*, jak mówią Czesi, gorąco rozkochani w swojej starej, pięknej stolicy. Tam brzmi już dokoła mowa czeska, bardzo łatwo dla nas zrozumiała; tam spotyka się czeski obyczaj, czeską sztukę.

A bywa naszych tu corok niemało, z krzywdą nawet wód własnych; ale skłania do tego wygoda i ułatwienie pod względem wszelakim warunków życia, o co właśnie u nas, w okolicznościach podobnych życia kąpielowego, lub villegiatury—najtrudniej. Przybywający do Czech znajduje wszędzie, w najskromniejszych nawet zakątkach, ten miły ład cywilizowanego życia, bez którego ciężko jest obywać się przyzwyczajonym do niego, i obok największego porządku zawsze coś piękna, umilającego człowiekowi istnienie: drzewa, kwiaty, ogrody, ogródki—wszystko na rozmaitej skale: wyższą, niższą, czego właśnie braknie nam najwięcej. Starym obyczajem nie lubimy się truć dla małych rzeczy, dla niewielkiego zarobku, choć mógłby on uczynić się stałym, być ciągłym i pewnym—stanowiąc jakgdyby rentę pracy. Więc też mnóstwo osób jedzie kędyś dalej, gdzie to znajduje, i grosz ucieka z kraju.

Wprawdzie kraina czeska ma swoje zdrowotne źródła, niedające się zastąpić innemi, do których ściągają ludzie z całego świata, jak, na przykład, Karlsbad a raczej Karolowe Wary, i Teplice, z kądem właśnie piszę do was. Gorąca woda wytryska z łona ziemi na pomoc dla cierpień człowieka, który też śpieszy tutaj z blizka i z daleka. Istnieje legenda, że Karlsbad został odkryty przez cesarza Karola IV, który goniąc za jeleniem wśród kniei lesistej, napędził go przez sforę psów swoich w wody, wytryskujące z łona opoki—dzisiejszy Sprudel. Teplice, czyli Cieplice, jeżeli się używa wymowy polskiej, mają o przeszłości swojej podanie podobne. Odkryć je miała w 732 r. zabłąkana świnia pastuszeki ubogiej i na pamiątkę tego szczęśliwego, całą okolicę ubogacającego zdarzenia, obchodzi się tu co rok w dniu 1-go Września bardzo paradnie i wesoło: „uroczystość świni.“ Przez miasto, całe we flagach i zieleni, przeciąga processya wszystkich cechów i zgromadzeń miejskich, z pochodniami, bębniami i muzyką, wśród huku wystrzałów, wśród blasku rac, petard, ogni bengalskich, niosąc chorągwie, wieńce, wstęgi—wszystko z godłem świni, której postać figuruje też na pomniku w Stadtparku, wzniesionym na pamiątkę tysiąc-stoletniego istnienia kąpeli cieplickich.

Gminy okoliczne ściągają przytem do miasta i jest to razem uroczystość bardzo malownicza i charakterystyczna, bo stowarzyszenia strzeleckie, szermierskie, straży ogniowej, oraz bandery wiejskie występują paradnie w kostiumach średniowiecznych, w piórach, w godłach obywatelskich gałęzi dębowych, co daje pochodowi blask i koloryt, wzrok pociągający..

Tylko że to wszystko jest staroniemieckie, jak i ten lud miejski i podmiejski jest niemieckim również i zakorzenionym tu, jakkolwiek nie jest on tubylczym, lecz napływowym.

I nad tą-to ludnością, zamożną, niezmiernie gęstą, osiadłą na ziemi uprawnej jak ogród jeden—nad tą okolicą odwiecznie bogatą, zawisa nagle przed laty kilku, w Lutym 1879 r., groźba straszna klęski i ruiny—groźba zamknięcia źródeł mineralnych, które są Paktolem miasta i jego okręgu. Stało się to niespodziewanie i bez żadnych oznak uprzednich. Wytrysk głównego cieplickiego źródła: „Stadtbad Urquelle“, które płynie z Gór Kruszcowych (Erzgebirge), zniżył się nagle z przyczyny przerwania ścian ziemnej, dzielącej źródło od kopalni węgla w miasteczku Dux, odległym od Teplie o 20 minut drogi koleją żelazną. Wielka kopalnia Döllingera (Döllinger-Schacht) została nagle zalana wodą gorącą; 26 robotników znalazło śmierć okru-

tną wśród tego podziemnego potopu, a ludność okoliczna jęknęła przerażona.

Źródła cieplickie, wylewające przeszło lat tysiąc dobroczynne swe wary, nie posiadają, właśnie z powodu tej starożytności swojej, pasa ochronnego (Schutzrayon), który gdzieindziej nie pozwala na żadne takie przedsięwzięcie w pobliżu, które mogłoby przynieść szkodę źródłom leczniczym: zabrania prac górniczych, poszukiwania i wydobywania kruszców, kopania węgla kamiennych. Tu tego nie było, i ztąd powstał w okolicy Teplie bardzo rozwinięty przemysł górniczy, zwłaszcza wydobywanie węgla brunatnego. Od 1860 r. kopią go w wielu miejscach na użytek licznych fabryk parowych, zalegających stoki i całe podgórze Gór Kruszcowych, zapelniając dymem swoim rozległe dla wzroku otwartą i bardzo piękną okolicę, która, widziana z doliny cieplickiej, zdaje się pływać w mgie wiecznej—w obłoku siwo-błękitnych oparów conadaje kształtem jakiś wygląd fantastyczny, jakgdyby fantasmagorycznego widzenia.

Ale w rzeczywistości wcale to szczęśliwie nie wypada. Klęska odprowadzenia gdzieś na bok źródła leczniczego zagroziła dobrobytowi całej tej polaci kraju, aż austriackie ministerium spraw wewnętrznych, po zesłaniu na miejsce rzeczoznawców, nakazało właścicielowi kopalni wypompować z niej wodę i zamurować otwór wybity w ścianie źródła. Drugostronnie gmina miasta Teplie otrzymała polecenie wiercenia pogłębiającego źródła na 56 metrów i ustawienia pompy parowej, która by podnosiła wodę i prowadziła ją do łaźni. Chociaż źródło, zasilające kąpiele w Schönau bynajmniej naruszonem nie zostało, zrobiono i tam to samo w celu zabezpieczenia się na przyszłość; bo i teraz jeszcze pas ochronny wyznaczony nie został—zapewne ze względu na tak już rozwinięty przemysł kopalny, że państwo musiało się liczyć i z jego interesem.

Po ukończeniu tych prac, które pociągnęły za sobą koszt ogromny, zaproszono z Pragi uczono chemika i profesora uniwersytetu, Dr. Gindtla, aby wykonał rozbiór źródeł, ten zaś wykazał, że nie zaszła żadna tak we własnościach i składnikach, jak i w ciepłocie wody; a to stwierdzeniem zostało przez porównanie z rozbiorem berlińskiego profesora Dr. Sonnenschein, dokonany na trzy lata przed wypadkiem. Nastąpiło też uspokojenie zupełne, kuracje do roczne odbywały się w warunkach prawidłowych, gdy nagle jesienią roku zeszłego, 28 Listopada, nastąpiła ponowna katastrofa: kopalnia Wiktoryna (Victorin-Schacht) znajdującą się w okolicach Dux z drugiej strony źródeł, znów przebiła ich ścianę i woda, płynąca z niesłychaną siłą 165 metrów kubicznych na minutę, zalała w przeciągu ośmiu dni cztery wielkie kopalnie węgla: Victorin, Fortschritt, Nilson i Gisella-Schacht. Dół kopalniany napłynął się po brzegi; przecięły pompy parowe pozwoliły mimo to prowadzić wodę do zakładów kąpielowych bez żadnej przeszkody, ani jakiegokolwiek zmiany w ich składzie, co stwierdziła na miejscu komisya rządowa, która dokonała oględzin pod przewodnictwem starosty cieplickiego.

Przytem rząd zakazał właścicielom zalanych kopalni wypompowania stojącej w nich wody, aż do końca sezonu kąpielowego, aby nie spowodować jakiej nieprawidłowości w dopływie wody do zakładów. Rzeczoznawcy poradziły przytem ponowne wiercenie źródeł na głębokość 300 metrów, co i rząd nakazał, ze względów użytku publicznego, i co też nastąpi zaraz po skończeniu się pory kąpielowej. Miejsce wiercenia wskazał rząd według rady rzeczoznawców—geologów z Wiednia i Pragi.

Wieści o zmianie leczniczych własności wody cieplickiej, o odwróceniu się kierunku źródeł, rozpuścił tłum nieświadomy stanu rzeczy, a powtórzyły je za nim głosy kilku niekompetentnych dzienników, jako wiadomość sensacyjną. Wskutek tego zebrała się w Lipcu rada lekarzy Niemców, praktykujących w Czechach, przyłączyło się do nich pięciu profesorów uniwersytetu prazkiego i razem dokonano badania źródła, które wykazało zupełną bezpodstawność lekomyślnie rozszerzanych bajek.

Jak dla nas, największe, najważniejsze znaczenie mieć może sąd zacnego i uczynnego lekarza naszego, Dr. Władysława Krajewskiego, który zaraz z początkiem nastania pory kąpielowej, dokonał rozbioru źródła, zasilającego kąpiele na Schönau, w Neu-Badzie, gdzie zwykle kąpią się wszyscy Polacy, a który ani mógł się mylić, ani przy posiadanej znajomości miejsca mógł być w błąd wprowadzonym, co potwierdziła świadectwem swoim jedna jeszcze nasza powaga naukowa. Professor dziekan uniwersytetu warszawskiego Dr. Brodowski, który tu przybył kilka dni temu, robił analizę wody u źródła i znalazł 39 stopni naturalnego ciepła, łączącego się ze wszystkimi temi warunkami, które stanowią o leczniczych przymiotach kąpeli tutejszych.

Kwoli prawdzie i pożytkowi osób potrzebujących kuracyi wód cieplickich, rozpisałem się o nich długo i szeroko; że przecież gromadzi się tu corocznie znaczna liczba ziomeków naszych, że z pomiędzy wód, mających podobne własności lecznicze, znajdują się one w najbliższym sąsiedztwie, sądząc, że rzecz nie będzie dla czytelnika pozbawioną interesu.

Czechy przygotowują się tu do wielkiej uroczystości, o której gazety ich piszą, że od czasu położenia kamienia węgielnego pod budowę Teatru Narodowego nie było jej równej. W bieżącym miesiącu przypada czterdziestoletnia rocznica zniesienia w Czechach pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, więc celem uczczenia tej chwili, która tu ma znaczenie bardzo wielkie, narodowe—bo wielcy właściciele ziemscy są tu przeważnie Niemcy, lub renegaci ziemczali—ma nastąpić wielki zjazd rolników z Czech właściwych, Morawy i tej części Szlązka, do której Czechy odwieczne prawo sobie roszczą i gdzie też zaludniają gęsto powiaty nadgraniczne. Tak zwane tutaj „dni Ś-go Wacława“, to jest 27 i 28 Września, wybrane zostały na uczczenie tego pamiętnego wypadku.

„Sjezd rolnictwa z Cech, Morawy a Szlązka“ zjedzie się do Pragi zgromadzi na Sofinie, na znanej wysepce wśród Wełtawy, „ostrove sofinskem“ w wigilią Ś-go Wacława, w który-to dzień danem będzie w Teatrze Narodowym odpowiednie widowisko.

Ktoś proponował historyczną komedję Vrchlickiego: „Noc na Karlsteinie“, ale podniosły się głosy inne, żądające dla chwili związanej z pamiątką taką poważnego dziejowego dramatu. W każdym razie przedstawienie będzie wspaniałe i uroczyste, przez zbiór tych, którzy na nie przybędą, a wielka, piękna sala Narodowego Teatru nadaje się dobrze do tego. Nazajutrz, to jest d. 28, nastąpi o godzinie 11-ej zebranie Zjazdu, a poseł Staro-Czechów do Rady Państwa, autor cenionego tu dzieła rolniczego, Karol Adamek, mówić będzie o wielkiem znaczeniu aktu, którego czterdziestoletnią rocznicę naród czeski obchodzi braterskim zebraniem ziemian swoich.

O godzinie 1-ej po południu członkowie Zjazdu i zaproszeni goście zasiadą do wspólnego obiadu, poczem—o godzinie 3-ciej rozpocznie się zabawa z szerszym udziałem publiczności i z muzyką, śpiewem, deklamacją, z oświeceniem elektrycznym, gdy wieczór nadejdzie. Spodziewają się tu bardzo liczne zgromadzenia, nie tylko Prażan. Gminy okoliczne i stowarzyszenia rolnicze: „Spółki gospodarskie“ zapowiedziały już uczestnictwo swoje. Będą przybywały gromadnie, na wozach umajonych zielenią, udekorowanych sнопami zboża i ciągniętych przez woły.

Letnia pora nie sprzyja rozejmowi piśmiennictwa, bo ci, co je tworzą, rozjeżdżają się na bory, na lasy, dla zaczerpnięcia w pierś świeżego powiewu życia, dla pokrzepienia się u łona matki natury. Dlatego też nie dostało mi się do ręki żadne nowe dzieło literackie, wyższego znaczenia, lecz czytałem w dziennikach o mającej się wkrótce ukazać pracy, bardzo dla Czech cennej, której autorem jest bibliotekarz *Jednoty przemysłowej*: Jan Slecata Krivoklatsky: „Historicko-staticky vyvoj kralovstvi Ceskeho“. Dzieło to ma być bardzo obszerne, w kilku tomach, taniem przecież chce je mieć autor i dla przedplacicieli cena jego nie przeniesie 13 zł. reńskich.



Wyszedł tu kalendarz czesko-żydowski na r. 1889, rocznik VIII, wydany przez stowarzyszenie prazkich akademików żydów, w którym znajdują się rzeczy interesujące i nas. Jest tam historyczny szkic Jelinka: „Kościszkov polkownik, Berek Josielovic“, jest w przekładzie Kvapila przepiękny wiersz Gomulickiego: „El mole rachmim“. Vrchlicky zamieścił tam także poezję pod tytułem: „Basen.“ Wstępny artykuł redaktora Karola Fischera, poezja także, zaleca się, obok talentu, bardzo szlachetną tendencją.

M. M.

## NOWOCZEŚNI KRZYŻOWCY.

(Dokończenie).

Od pewnego czasu przyjmuje się tedy obyczaj mordowania przeważnie mezkich jeńców z uprowadzonych niewiast i dziatwy murzyńskiej. W jakim stosunku odbywają się owe rzezie i razzie, wystarczy tu przypomnienie, iż gdy raz pewien handlarz niewolników zobowiązał się dostarczyć pięćdziesiąt kobiet zarekwirowanych dla pewnego haremu, zniszczył jednocześnie ogniem i mieczem dziesięć spokojnych osad, wybił tysiąc pięćset niewinnych ludzi. Zbudzeni w pierwszym śnie Murzyni chronią się nieraz do sąsiedniego lasu lub zarośli. Siepacze nie zadają sobie trudu odszukania ich tamże: podpalają tylko wyschłe w słońcu zwrotnikowem trzciny, ażeby „wykurzyć“ ludzką zwierzyńnię, która ginie w płomieniach lub wybiega z ogniska, aby wpaść w ręce oprawców. Zaczyna się wtedy straszny pochód przez Afrykę: ujętym niewolnikom nakładają na kark drewniane widełki, naksztalt jarzma, i razem spętanych długim szeregiem pędzą po spieczonej ziemi, pod palącym słońcem, bez popasu, ni wytchnienia. Garstka surowego sorgo, skąpo rozdzielana woda, po wielogodzinnym pochodzie za całe służą pożywienie. Najstraszniejsze bywają owe noclegi. Handlarz lub przewodnik karawany wieczorem odbywa ścisły przegląd ludzkiej trzody. Na pierwszy rzut oka poznaje zdolnych lub niezdolnych do dalszej podróży: tych ostatnich po kolei silnym uderzeniem maczugą w kark zabija, oszczędzając sobie prochu przy tych doraźnych egzekucjach. Trupy pospołu z żyjącymi do rana leżą na jednym miejscu, co przy szybkim ciał rozkładzie różne szerzy zarazy.

Owe noclegi tak straszne zostawiają obrazy w pamięci Murzynów, iż dziatki wykupione przez Misjonarzy, dłuższy czas nocnymi nekane zmojami, budzą się z krzykiem trwogi i drżą na całym cielem. Nieraz i po drodze, gdy który jeńiec ustaje, doraźne ponawiają się egzekucje. Gorzej jeszcze się dzieje, gdy który niewolnik spróbuje ratować się ucieczką. Prawie zawsze schwytany, albo odrazu bywa zabity mściwą dłonią naczelnika karawany, albo też sroższy los go czeka: siepacze odcinają mu bowiem rękę i nogę, wrzucając te poćwiertowane członki w najbliższe zarośla; jako przynętę dla lwów i lampartów, które napół żywą przybędą rozszarpać ofiarę.

Nieraz ospa lub cholera dziesiątkuje karawany niewolnicze, głód i brak wody przyprawia o śmierć ludzką trzodę; ale poniesione ztąd straty nie zniechęcają handlarzy. Niewolnictwo przyzwyczajają do lekceważenia życia ludzkiego, które tu w niebywały staniało sposób. Dziecko

kupić można za garść soli, kilka kobiet za jedną kożę. Zbezczeszczenie niewolnika prowadzi do krwawej obojętności na jego losy i życie. Pewien Afrykanin chwalił się przed misjonarzami, iż jednej nocy zabił był pięć żon swoich, a czynił to z olimpijskim spokojem, nie domyślając się wcale, iż dopuścił się przez to potwornego czynu. Na dworze Mtezy, króla Ugandy, którego harem doliczał się przeszło tysiąca niewiast, nie było dnia bez krwawej egzekucji. Codziennie małżonki królewskie wiedziono na miejsce trawienia i nikt się nad ich losem i łzami nie użalił, krytycznie rozbierano tylko ich wdzięki lub młodość; ani słowem nie piętnowano okrucieństwa wyroku. Niewolnica jest bydłem, na żadne nie zasługuje względy.

Kardynał Lavigerie przypominał charakterystyczny rys dostarczony mu przez jednego z misjonarzy algierskich. Pora słotna tak rozmięczyła ziemię pewnej osady, iż nie można było na krok się od wsi oddalić, aby nie ugrzęznąć zaraz w przepaścistym błocie. Pewien Murzyn mimo to wysłał żonę po drzewo do sąsiedniego lasu. Zaledwie opuściła szalaś i drogę, jej zapadać się w bagno. Na jej krzyki trwogi przechoinnie odpowiadali szyderczym śmiechem. Niebawem i mąż podszedł ku bagnisku, ale, zamiast ratować nieszczęśliwą, rzucił jej tylko kij z nielitościwym żartem, iż się ma nim opędyć od dzikich zwierząt, jeśli które swym lamentem zważy. Po upływie kilku godzin, ruchome błoto zamknęło się nad głową biednej murzynki, której nikt pomocy nie raczył podać ręki lub powroza. Niekiedy, pędzonym w niewolniczych karawanach kobietom siepacze pozwalają zabrać z sobą niemowlęta. Ale niech-no w drodze przekonają się, że trudno naraz dźwigać dziecię i przeznaczoną część rozdzielonych ciężarów, a natychmiast wydają nielitościwe rozporządzenia. Wyrwane z macierzyńskiego objęcia niemowlę pod okiem rozpaczającej matki zbrodniczą dłoń rozbija o kamienie przy drodze, porzucając ciało na pastwę szakali.

Po przybyciu na miejsce targowiska zaczyna się publiczna licytacja, ocenianie wartości ludzkiego towaru, ścisłe oględziny osoby. Zapada ugoda, a po złożeniu pieniędzy nowy nabywca staje się panem życia i śmierci, ciała i duszy swego niewolnika lub niewolnicy.

Prócz humanitarnych względów i ogólnie-ludzkiego społeczeństwa kardynał Lavigerie wskazuje niebezpieczeństwo płynące z podobnego stanu rzeczy. Jeśli wyludnienie Afryki tak szybko dalej postępować będzie, to przelotnie otwierająca się dla handlu i oświaty europejskiej kraina ponownie i niepowrotnie nieprzystępną się stanie. Zakładając idące w parze z niewolnictwem postępy Islamu tak ogarną całą tę część świata, iż gotów jaki nowy Mahdi sfantazyowane tłumy powieść kiedyś wznowionymi gminoruchami na nadbrzeżne posterunki cywilizacji, a bodaj i dalej jeszcze. O to tedy czynić wypada, aby zażegnać późniejsze niebezpieczeństwa, a na teraz zaradzić obecnym kłeskom. Prymas Afryki nie widzi innego środka, jak tylko orężną walkę, wyszyfowanie hufców europejskich, któreby rozprędziły dziki motłoch hersztów handlu niewolnikami, owych krwiożerczych i rozpustnych metysów, będących plagą wnętrza Afryki. Podróźni po Afryce, jak Cameron i inni, zupełnie dzielą zdanie dostojnego purpurata; owszem, mniemają, iż względnie mała garstka wypróbowanego, poświęconego i dobrze uzbrojonego żołnierza zdoła ubezpieczyć spokojność mieszkańców strefy jezior, obecnie głównie wystawionej na napaści ohydnych handlarzy ludzi.

X. Lavigerie wymowny nawet przytacza przy-

kład. Wiedziony żądzą ofiary, były zuaw papiński, niejaki Joubert, osiadł opodal od misjonarskich osad nad Tanganyiką, i tak umiał wymustrować oddział złożony z dwustu tybulców, iż stał się opatrznoscą i opiekunem sąsiednich osad. Od kilkunastu lat mieszka on w Mpala, i żywym jest dowodem, jakby mało potrzeba, aby tu trzymać na wodzy i odpierać hordy Ruga-Rugów, jak w miejscowym narzeczu nazywają siepaczy będących na żołdzie handlarzy niewolników.

Pięćset do sześciuset ludzi odważnych starczyłoby niezawodnie, aby rozbić owe hordy i ocalić przyszłość Afryki. Ludzi też, chrześcijańskich żołnierzy, daleko bardziej, aniżeli pieniędzy dziś kardynał Lavigerie szuka, zebrze i potrzebuje. Współ z Namiestnikiem Chrystusowym, którego umysł ogarnia wszystkie wyższe zagadnienia ludzkiej społeczności, kardynał Lavigerie marzy o wznowieniu któregoś z średniowiecznych zakonów rycerskich. Zdaje się, iż zakon maltański ulegnie w tym celu stanowczej reorganizacji, zatraci mianowicie jałowe i zaśniedziałe znamiona wyłączności arystokratycznej, aby w miejsce długich genealogicznych wywodów stawiać osobistą zasługę robotników opuszczających warstat rolników odbiegających pług, aby chwycić za oręż w obronie ludzkości.

Znakomity biskup żadnego tedy nie pomija środka, aby ocalić ginące w cieniach śmierci owieczki. Kształci misjonarzy, zakłada apostołskie sieci i ogniska, nareszcie krząta się około wytworzenia międzynarodowego wojska, utrzymywanego kosztem interesowanych w dobrobycie Afryki europejskich rządów, któreby stanęło na straży zagrożonej ludności, i z czasem wypłeniło plagę niewolnictwa z powierzchni ziemi. Wspaniałym zaś niezawodnie jest widok tego pielgrzyma apostołskiego, przenoszącego się z Rzymu do Paryża, z Paryża do Londynu, z Londynu do Bruxelli, z Bruxelli do Berlina i dalej, aby orędownąć za trzodą pasterstwu swemu powierzona.

m.

Nakładem M. Orgelbranda w Warszawie

Wyszła z druku książka pod tytułem:

**MASSAŻ (Mięsień)**

opracował

**Dr. JÓZEF STARKMAN**

Cena egzemplarza 80 kopiejek, z przesyłką pocztą 90 kopiejek

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Słowo honoru**, przez N. Godina.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Ze spuścizny olbrzyma (dalszy ciąg), przez Miriam'a. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — List z Czech. — Nowożytni krzyżowcy, (dokończenie.) Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści **Słowo honoru**. — 52 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою—Варшава 31 Августа 1888 года